MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro, tel. 275-11. Godziny przyjęć codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5, tel. 26-58

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok IV. Warszawa, 25 Października 1924 r. № 43.

TREŚĆ NUMERU: Obrona Doriana Graya—*Adolf Nowaczyński.* Unser Mann ist jetzt Erzgraf A. von Skrzynski. Skrzyński a Baczeski... Der kleine Kohn o wielkim Skrzyńskim. Jak ostrzegał przed Niemcami Lloyd George. Modły Sz. Aszkenazego — *J.*



Cena numeru 25 groszy.

OBRONA DORIANA GRAYA.

Motto:

„Szkoła Stańczykowska chce, aby każde z państw rozbiorowych miało swoich Stańczyków."

St. Koźmian. Pisma. III.

W dniu dzisiejszym Sejm Rzeczypospolitej zbiera się na nową jesienną sesję, po długim, długim wypoczynku. Przed tym Sejmem prawdopodobnie w najbliższych dniach stanie też ten nasz minister spraw zagranicznych, który cieszy się największą tolerancją, a raczej największymi faworami opinji publicznej, wobec którego opozycja jakby olśniona zaniemówiła, którego żadna grupa polityczna oficjalnie nie zwalcza, jednem słowem, dziecię szczęścia, na którem jeszcze raz sprawdziło się starorzymskie przysłowie, które w dzisiejszej Polsce winno brzmieć: „fortuna ck. est."

Jak Sejm Dostojny przyjmie ten fenomen „nie można nigdy przewidzieć"; niewiadomo czy temu reprezentacyjnemu anglomanowi zaśpiewają chórem stare: „for he's a jolly jolly god fellow"! czy też zabrzmi okrzyk: let him go! let him go! Niech idzie w spokoju ten sezonowy przechodzeń, ta wakacyjna wielkość, ten adorant bł. pamięci Macdonalda, któremu tak kadził, tak kadził, aż go dymem polskich podchlebstw widocznie może zadławił...

W Anglji wracają do steru ironeatony, zjadacze żelaza, ludzie mocni i nowi nie chcący słyszeć o żadnej „interdependencji" wierzący we flotę i w muskulaturę, a nie w „nieszczęsny błędny ognik zwany międzynarodowością" (Baldwin); neochamberlainizm. W Niemczech wbrew pleceniu o dualizmie pacyfistów i nacjonalistów nadchodzi rekonstrukcja gabinetu w duchu maxymalnego nacjonalizmu. Związek republik sowieckich wzmacnia armję, flotę, lotnictwo wojenne i industrję gazową... A w Polsce, w tym garnku glinianym między żelaznymi, w tym manekinie do boxowania przez żylastych sąsiadów, w tem państwie o zielonych pejzażowych granicach, w tym domu o otwartych wszystkich bramach, drzwiach i oknach, ster zagranicznych spraw spoczywa nadal w manicurowanych rączkach rozkosznego przyjemniaczka, którego cały kunszt dyplomatyczny polega na koketerji i wdzięczeniu się czyli na elementach psychicznych typu Doriana Graya i jego cynedów. Zaczynamy od tego na czem Austrja się kończyła: od Berchtoldów czy od książątka Parmy, tj. od arystokracika, który ponałapywał i przyswoił sobie moc słówek modnych: arbitraż, protokuł, humanitaryzm, demokracja, solidaryzm, pacyfizm, współpraca ludów i narodów i tem pięknosłowiem świecąc bakę w kraju rzeszy prymitywnych radykałów i radykołtunów, przypuszczał, że zaimponuje także i Europie w Genewie czasowo biwakującej. Tymczasem to zawiodło na całej linji. Jeszcze raz powtarzamy wbrew zafundowanej lub skonwinkowanej prasie (H. Kohn, Rosner, Shapiro, Haecker, Grosstern, Auerbach, Beauprè, de la Maziere, „Czas", „Naprzód", „Dzień", Lodzer, Danziger, Oberschlesische i Posener-Zeitungen), że p. A. Skrzyński żadnego wrażenia ani w Genewie, ani w Paryżu, ani poprzednio w Londynie nie wywarł, bo wywrzeć absolutnie nie mógł, bo w indywidualności swojej niema literalnie żadnych danych, któreby w Europie, a tem więcej w Europie demokratycznej wrażenie wywrzeć mogły. Oba usłużne pisma warszawskie, które przytoczyły pokłosie z prasy paryskiej („Dzień polski" w Kurjerze polskim i „Dzień") dały tylko urywki z kollektywnego wywiadu p. Skrzyńskiego z prasą paryską ale nie dały ani jednego, ani jednego zdania, ani z jednej gazety paryskiej o roli i kwalifikacjach p. Skrzyńskiego. I choć p. Skrzyński krygował się przed tą prasą i wyczyniał reweranse i prawił dusery w tym niesmacznym wiedeńskim stylu: „Ale jest to wielkiem szczęściem Francji, że miała zawsze do swego rozporządzenia wyjątkowe zdolności i inteligencję polityków, którzy umieją oddać na usługi ojczyzny swe

doświadczenie, serce i niezrównane krasomówstwo“ (Temps) to jednakowoż ta prasa paryska nie zrewanżowała mu się ani jednem słowem i o „wyjątkowych zdolnościach i inteligencji”, jak wogóle o jakichkolwiek zdolnościach i predyspozycjach dyplomatycznych faworyta polskiej lewicy, ani po lewicy, ani po prawicy prasy paryskiej wyszukać słowa się nie dało. Sukurs więc „Kurjera Polskiego“ o „Dniu polskim” w Paryżu polegał na zasuggerowaniu czytelników tytułem. Nie wspomniał też, jak już wspomnieliśmy o nim ani jednem słówkiem, że gnający Assamble ostatniego dnia ugrzeczniony p. Hymans, recytujący cały szereg mówców genewskich. Najplastyczniej zaś kompletne bagatelizowanie odnoszącego rzekomo sukces po sukcesie polskiego delikata wyraziło się w upokarzającem nas doszczętnie nowym wyborze kilku (sześciu) nadzwyczajnych członków Rady Ligi, przy czem delegacja czeska dostała 40 (czterdzieści głosów), nawet Holandja 15, nawet Urugwaj! a Polska, której delikat tyle się nagadał, nakomplementował, naduserował, ani jednego głosu. I tu musimy znów napiętnować metodę przemilczania pewnych niemiłych detalów jaką uprawia firma Pat i Patachon. Przy tym wyborze dnia 3 października Chiny, dalekie Chiny, wojną domową rozdzielone dostały głosów 14 (czternaście) i wtedy obrażona delegacja chińska opuściła salę, zgłosiwszy przedtem bardzo energiczny, besztający protest; mają ambicję te Chińczyki. Przydałaby się uncja tej ambicji, tego poczucia godności i nam którzy po tylu, tylu sukcesach p. Skrzyńskiego, po takim wreszcie wzroście prestiżu naszego w Genewie nie dostaliśmy na 54 głosy ani jednego! Przydałyby się i nam nieco mocniejsze plecy i twardy kark i pewien opór w myśl tego, choćby co np. rok temu pisał p. Rosner, zwalczający z dziką, semicką pasją ówczesnego ministra S. Z. p. Seydę:

„We Francji rozumieją doskonale, bo Francuz sformował kiedyś tę wielką prawdę, że oprzeć można się tylko na czemś, co stawia opór. Psychologji naszego minisra spraw zagranicznych ta zasada jest zupełnie obcą“.

Widzimy teraz, że ta zasada okazała się też zupułnie obcą psychologji obecnego ministra spraw zagranicznych, który na taki afront po takich tryumfach, no i po duserach Assambłowi gadanych np. w tym rokokowym „guście“:

„Delegacja polska wyniesie najtrwalsze wspomnienia z pracy, w trakcie której poznała tyle pięknych umysłów, wybitnych zdolności i talentów; nie wymieniam nazwisk, ponieważ nasze uczucie admiracji zwraca się do wszystkich“ (dosłownie), ani się skrzywił, ni zmarszczył, ani też zafundowanej lub skonwinkowanej prasie (H. Kohn, Shapiro, Rosner, Grosstern, Auerbach, Beaupré, Haecker, Lodzer, Kattowitzer, Danziger) skrzywić się lub to choć wypomnieć nie zadysponował... Zwracamy tu uwagę na to, że nawet ”Quotidien” nowy organ kartelu lewicy (własność koniakarza Hennesy) nie zdobył się w „dniu polskim“ na jeden komplement pod adresem sternika polityki najbardziej zaprzyjaźnionego państwa.

Oczywiście, powie ktoś na to i można to wytłomaczyć tem, że p. Skrzyński na tle Paryża jest właściwie konwertytą, że w tym Paryżu, gdzie socjalista Moutet najostrzejszymi wyrazami ganił taktykę delegacji macdonaldowej w Genewie, nie mogli zdobyć się na serdeczne superlatywy wobec dyplomaty, który 5 września w swej pierwszej maidenspeech genewskiej (po górnośląskim „błędzie" Mac Donalda) wprost giął się w rewerensach przed angielskim premierem i rzucał mu kwiecie pod buty. Istotnie można sobie lodowatą oziębłość prasy paryskiej (przygotowującej już zresztą atmosferę dla komisji senatora de Monzie'go) wytłomaczyć tem, że przecież p. Skrzyński to reprezentatywny mąż nowego kursu angielskiego w Polsce, ten który Polaków miał uratować przed jarzmem francuzkiem, jak to obiecywał rozmaitym Harrisonom a świeżo Stephenowi Grahamowi z „Timesa" (tak czy nie?). Nie mogła się przecież prasa paryska entuzjazmować konwertytem politycznym, który dopiero w kalwińskiej Genewie dostawszy psztyczka w nosek od Anglików przeszedł na francuskie wyznanie a cały rok przedtem antyszambrował w redakcjach i klubach londyńskich roznosząc wszędzie swój liberalizm, swój pacyfizm, swój antymilitaryzm, swój peace and „please". Zresztą i co mogła powiedzieć o tym młodym człowieku o fatalnie trudnem dla etranżerów nazwisku, który w kraju jest wprawdzie jakiemś nietykalnym demokratycznem „tabu", ale zagranicą „tabula rasa" jest niezapisaną kartą, jest przelotnym dźwiękiem nazwiskowym, których sto razy dziennie wpada w ucho i wypada? Ostatecznie musiała tam być jednak jakaś nieufność i w opinji i w nowych sferach miarodajnych dla takiego pana, który tempore belli był jednym z dwóch tysięcy wiedeńskich c. k. Kammerherrów, potem zaś będąc posłem nie tyle w Bukareszcie, ile w Sinaja, lawn-tennis-attaché bałamucił się z piłsudska po madziarońsku, a cały rok ostatni afiszował i reklamował swoją albionitis progressiva cum stupore. Zanadto zresztą szedł z manier i z żakietu tego grafiątka kopertowego zapach „fleur de Vienne" zanadto raziła prowincjonalizmem groteskowa sztywność oberleutnantów z Burgu, aby prasa paryska mogła zapałać do niego taką sympatją, jaką żywi dla takich polskich grandseigneurskich rodów jak Zamoyscy, Chłapowscy, Czartoryscy, Sobańscy, Lubomirscy, których nazwiska mają już prawo obywatelstwa i w ville lumiere nie tylko an der schönen blauen Donau.

Powie ktoś na to: Tak ale za to zapewne lodyńska, angielska opinja musiała się entuzjazmować we wrześniu tym „exponent of polisch liberal foreign policy", który tak kadził Macdonaldowi, tak podbiegał do Parmoora, tak rósł w oczach gdy i jego nazwisko wspomniał prof. Murray (sam dziś zapadnięty w niepamięć jak ta cała kompanja). Otóż i tu musimy stwierdzić, że nic podobnego. Prasa angielska więcej nas teraz ignoruje od czasów gdy „the exponent" nastał, niż nas kiedykolwiek ignorowała. Nie zaimponowaliśmy ani też nie skaptowaliśmy sobie opinji angielskiej obarczając takiego „preciéuse

radicale", takiego frazesowego wytwornisia i lekkiego makaronistę ciężką teką spraw zagranicznych. Nie tylko nie zyskaliśmy ani jednego nowego organu, któryby się dał przekonać do Polski tą płytką paplaniną o polskim pacyfizmie, lub tymi czterema mówkami w Genewie earla of Lodomerry, nie tylko jednego dobrego słowa nie pisnął o nas „Daily Herald", nie tylko nie przestały nas szykanować Manchestery, New- i Jew-Statesmany, ale jeszcze straciliśmy we wrześniu tem lizaniem kwakierskich shoes Parmoora i czyszczeniem pipe Macdonalda sympatje takich organów jak „Morning Post" lub „Daily-Mail" a przyszłość pokaże czy druzgocący Mac-Donalda numer w numer miesięcznik „National-Reviev" (dotychczas zawsze nam przyjazny) teraz o Polsce ze Skrzyńskim będzie tak pisał jak pisał o Polsce za Paderewskiego, Dmowskiego, Zamoyskiego. To pewne, że epitetu polskiego d'Izraelego jaki p. Skrzyńskiemu nie tyle honoris ile humoris causa nadał zacietrzewiony hofrath z „Kurjera Polskiego" w prasie angielskiej nikt nie powtórzył i nie powtórzy, skoro w „Snobach" Thackeraya albo w komedjach O. Wilde'a znalazłaby się figura jakaś znacznie bliższa psychicznie faworytowi i reprezentantowi w Brühlowskim pałacu naszej biednej, biednej Lewicy.

Kilka miesięcy temu, kiedy dawano „chance", pozwolono w letnim kanikularnym sezonie eksperymentaliter zagrać zastępczo na pierwszych skrzypcach temu rutynowanemu kalikantowi na organach krakowskich, wszyscy powtarzali sobie, że rzucając taki kąsek, taki królewski kąsek brytańskiemu lwu, będziemy mieli na jakiś czas spokój od tamtej strony kanału. Skoro autor „Peace and Poland", którego extemporale paniedzieju drukował nawet „Daily News", patentowany made in England pacyfista i liberał obejmie ster, jednak ucichnie, zelży, zmięknie trochę ta nieustająca, zażarta, chroniczna, nieodpoczywająca nagonka na „smale state" na „pony state", na Poland. Tak perorował w gronie krakowskich panów Pecuchetów i panów Homais profesor dr. Dybowski specjalist i ekspertissimus, świeżo wprost z Londynu przybyły, obładowany wiedzą o Anglji jak wielbłąd z karawany tomami Biblji ale politycznie orjentujący się w Anglji jak sztubas i naiwny jak kameel. Powtarzali to tam za nim i Jan Amor Tarnowski i Francois d'Assizi Potocki, dwa paradepferdy od landary „Czasu". W Warszawie zacierali patrjotycznie ręce Askenazy i Handelsman, Rosner i Posner. Patrjotycznie. „Zjednamy sobie Anglję" mówiono w Warszawie, „podejdziemy," „przechytrzymy" Anglję mówiły cywilne Jezuity krakowskie. Stuprocentowe żydy żargonowe zaś z „Naszego Przeglądu", „Nowego Wieku" i łódzkiej „Republiki" wprost już nie posiadały się z radości że likwiduje się aljans z Francją, następuje intermezzo angielskie, potem polska splendid isolation, krótki miesiąc dwufrontowej wojny a wreszcie raj na ziemi, Paradies im Thal, wspólna granica Niemiec i Rosji nad Wisłą, ostateczny ideał podświadomy każdego Ostjuda, każdego kontynentalnego Aszkenazim. Illuzję, że można sobie opinję angielską skonwinkować czemś

z dnia na dzień, illuzję, że pogląd angielski na przeszkadzające w handlu małe państwa jest czemś niestałem, nie constans, illuzję, że Anglja może wogóle sentymentalnie patrzeć na niedolę i kłopoty jakiejś tam Poland, mogli mieć wogóle tylko analfabeci historyczni, nieznający wieku XVI w Anglji ani czasów przedrozbiorowych w Polsce, ani... Szekspira, analfabeci, którzy nie czytali nawet... nawet Aszkenazego i Handelsmana prac, tempore belli antyangielskich. Tym illuzjonistom, nieukom czy niedoukom polecamy tu najgoręcej aby przestudjowali po pierwsze: „Hamleta", po drugie panowanie królowej Elżbiety, po trzecie monografie o Disraelim, po czwarte przynajmniej jedną epokę z dziejów Polski tj. literaturę historyczną przed- i rozbiorową: Kalinkę, Smolkę, Balzera, Korzona, Dembińskiego, Kraszewskiego no i najkapitalniejsze dzieło niemieckie w tej materji i to nawet żyda tj.: docenta Salomona „Der Politische System des jungen Pitt und die erste Theilung Polens". Przydałaby się ta lektura i dyletantowi dyplomatycznemu a ignorantowi historycznemu p. Skrzyńskiemu. Szczególnie aby się nieco przejrzał w zwierciedle tragedji Ignacego Potockiego. Szczególnie, aby się dowiedział kto to był niejaki Hajles of Dalrymple, poseł angielski przy dworze Króla Jegomości. Wtedyby się może nasz „jolly god fellow" przekonał, że takie same „kuszenia" Augura z „Contemporary" czy Harrisona czy innych, drukowane były z podpisem czcigodnego Hailesa w drukarni imcipana Grolla i że chytremu Angliczaninowi, namawiającemu nas abyśmy się zrzekli Torunia i Gdańska, abyśmy pomogli ratować biedne uciskane Prusy, abyśmy się nawrócili do idei: Londyn - Berlin - Warszawa i wstawiającemu się także wtedy za „dissidents" za „mniejszościami" odpowiedział kto? poeta Trembecki... Mutatis mutandis to samo, to samo.

Ani tedy na opinję angielską, ani na prasę, ani na Morela czy Garvina, ani na leaderów liberalnych Kenworthy'ego czy Dawida, ani na sfery miarodajne, ani na bł. p. Macdonalda ani nominacja p. Skrzyńskiego, ani wyekspedjowanie go z orszakiem, bardzo dużym, bardzo kosztownym orszakiem nad Leman, ani tegoż arcysnoba papkinady, ani jego „moralische Eroberungen" nic a nic nie wpłynęły.

I tu nic się na dłuższą metę narosnerować nie da, choćby się cała liberyjno liberalna prasa zafundowana lub skonwinkowana (Posner, Rosner, Shapiro, Grostern, Haecker, H. Kohn, Beaupré, Auerbach, Lodzer, Kattowitzer, Dauziger), choćby się wszystkie ablegery enkaenicznego „Czasu" wszystkie „dziennikarze z „Wesela" Wyspiańskiego „rozlokowane" po całej Polsce uwzięły i sobie wzajem poprzysięgły, że „legendę" o wielkim dyplomacie par force per fas et nefas podtrzymają, Polsce o „domowem wykształceniu" nową znakomitość akademicką, rutynowaną, kompetentną, fachową, w Krakowie ostemplowaną narzucą i zasuggerują. W Bukareszcie czy w Sinaja taki salonnard czy salonjongleur był całkiem na swojem miejscu, w Genewie na tle tych radico, tych labou-

rzystów, tych doktrynerów, pryncypialistów, tych trybunów i retorów, wighów, wygów osiwiałych w agitacjach i demagogiach taki dandys wideński ze swoją pośpiesznie skleconą frazeologją demokracką, ze swoją nieco z 18 wieku dworską eufemicznością i effeminacją był paradoxem i anachronizmem. Co sobie mogły pomyśleć o nędzy ludzkiego materjału naszej lewicy takie lwy meetingowe, takie tygrysy parlamentarne widząc na własne oczy, że ta radykalja liberalna polska musi sobie wypożyczać z wideńskiej Habsburskiej Rumpelkammer takiego „nieznanego tancerza“ z ambasady na to, aby ten wyuczywszy się jak „zielone kakadu“ Schnitzlera pewnych słówek rewolucyjnych powtarzał mechanicznie z czarującymi uśmiechami twarde słowa: arbitraż, protokuł, pakt, wojna, gwarancje i t. p. Jakim wzrokiem patrzył na takiego „fircyka w zalotach” do Międzynarodówki, jakim uchem słuchał takich licealnych, seminaryjnych miodopłynnych recytacji i to słuchał z musu czterokrotnie taki Aristides, taki Briand, który przez cały miesiąc genewski nie przemówił ani razu, żeby wreszcie ostatniego dnia wypowiedzieć się króciutko, wyrżnąwszy w audytorjum bezlitosne zdanie:

„Protokuł obecny zadawalnia nas zupełnie; żałujemy tylko. że nie może on zostać natychmiast zastosowany“.

Żałujemy tylko że nie może on zostać natychmiast zastosowany. Amen. Punctum. Pauza. Tableau.

A co to o tem protokóle nie naszczebiotało nam wiedeńskie Wunderkind. „Protokół przepojony jest uczuciami wiary, miłości i solidarności“,... „protokół jest wyrazem siły i jasności”... „gwarancji i doskonałości“... Tak mówił p. Skrzyński w Genewie, żegnając się i jak baletnica posyłając całusy na wszystkie strony; a od tych jego „ości“ zadławić się można było lub mdłości dostać z degout do takiej miodopłynności. A co potem już po powrocie do Warszawki, już kiedy egzaltowany impressjonista powinien był ochłonąć i otrzeźwieć, co to potem naszczebiotał do prasy rutynowany dyplomata? Dwa tysiące lat czekało na ten moment! A do dziennikarza z „Echa”, który starał się oziębiać twardymi pytaniami tę katatoniczną pensjonarkę:

— „Raz więc jeszcze podkreślę wobec pana z całym naciskiem, iż w Genewie dokonano rzeczy wielkiej. Uśmierciliśmy tam legalną wojnę. Dzisiaj już jej niema. Dziś jest ona zbrodnią. Protokół, który w porozumieniu z rządem podpisałem, jest pierwszym realnym krokiem na drodze konkretnego zabezpieczenia pokoju światowego“.

Zestawiając teraz spartańsko-lakoniczne słowa Brianda z koryncką bełkotką Talleyranda z Taraskonu widzimy dopiero jak niepoważną „figurynkę z porcelany”, jak niepocieszznie pocieszną sezonową wielkość wysłaliśmy tam „dla uśmiercenia wojny” tam, do bądź co bądź poważnego areopagu politycznego, który odtąd dynamikę i możliwości przyszłe lewicy naszej będzie sądził po takim Lalusiu a Polskę całą po takiej bezsilnej, „bezpticzej”, bezradnej i bezzębnej lewicy...

Zareplikują teraz dworzanie z genewskiego orszaku tego Aleksandra, równie jak Macedoński, uwodzącego, albo też jego scriptores adscripti: a jednak Skrzyński w Genewie podobał się, ogólnie się podobał. Na dwunastego apostoła pokoju go wybrali, oklaski bili, gdy mówił o Wilsonie; don Gormandez de Gorgonsola zachwycony był jego prononcjacją, freihyrr Vyinand Focking pytał u którego krawca się wasz delegat ubiera, zachwycony Chińczyk pewien zainterpelował jednego z dziennikarzy czym z profesji jest mister Skrzyński, zapewne literatem? a jeden z Portugiezów wprost nie miał dość słów zazdrości, że wy macie takich szykownych socjalistów! Tym rodzajem „podobania", podobał się nasz delegat. Verynice! quit englisch! Charming! Sympatyczny. Za to niesympatyczni byli: Cavour, Thiers, Gambetta, Witte, Gorczaków, Gladstone, Salisbury, d'Israeli, Crispi i bardzo niesympatyczny był np. Bismarck. Ale o Bismarcku jest pięć znanych monografji w języku angielskim a o panu Skrzyńskim nie będzie ani jednej nawet w polskim. Albowiem Bismarckowi udał się polityczny pomysł i system: Rückversicherung i reasekuracji, a p. Skrzyńskiemu jego reasekuracja nasza w Anglji fatalnie się nie udała. I nie tylko się nie udała, ale na tem całem pielgrzymowaniu ad limina Macdonaldorum ten zgrabny i elegancki fuszer się skompromitował o ile u nas wogóle ktoś czemś, kiedyś, jakoś wogóle politycznie skompromitować się może. I nie tylko się ta Ruckversicherny w Anglji nie udała, ale właśnie z tej Anglji ten angloman doznał w momencie najgorętszego czołembicia, padamdonóżkowania i podlizywania cios po ciosie. Nigdy w żadnym miesiącu lat poprzednich, nie padło z ust najwyższego dostojnika oficjalnie coram populos Europae tak groźne dla naszej przyszłości tak złowróżbne słowo jak ten pseudolapsus Macdonalda o Górnym Śląsku!

Jeszcze nigdy w jednym miesiącu z różnych stron nie zgłoszono, nie zapowiedziano na przyszłość tylu pretensji terytorjalnych do Polski (generał Allen, Cziczerin, Modigliani, Nitti, Breitscheid) równocześnie jak w tym miesiącu, kiedyto wedle słów kapeli majufesników (Rosner, Posner, Grosstern, Wasserzug, Haecker, Nussbaum, Auerbach, Szwalbe, Shapiro, Birenzweig itp.) Polska „wreszcie" przestała być klientem Ligi, „powaga państwowa i prestige polski wzrosły nazewnątrz niepomiernie". W Anglji nie tylko wzruszono ramionami na przebąkiwanie p. Skrzyńskiego o gotowości polskiego reasekurowania się w Londynie, ale na wszystkie te dygi i lansady exponentu liberalnej polityki (w Anglji właśnie skrachowanej doszczętnie, przez Macdonalda znienawidzonej specjalnie) odpowiedziano wprost z łam całego szeregu pism, akurat właśnie liberalnych insynuacjami, że właściwie ten „peace" o którym gaworzy ten eksponent w Europie zawisły jest od wejścia Niemiec do Ligi, a to wejście od „Poland", od rektyfikacji granic na Północy i na Południowym Zachodzie. Przyczem znów dwukrotnie w samym „Timesie" przypomniano i Wilno, (drugi raz świeżo G. N. Barnes), a wielokrotnie Wschodnią

Małopolskę. Tak się skończyły zalecanki naszego Cacanka, tak wyglądają jego: „Stracone Zachody Miłości". Na erę tz. sukcesów, pyrotechnicznych i pyrrhusowych sukcesów arcyhrabiego galicyjskiego przypada pierwszy oficjalny atak angielskiej polityki, „atak na fizyczne podstawy naszego państwowego bytu", przypada wznowienie i odgrzebanie z archiwum Foreign Office tej samej polityki, jaką gabinet Pitta prowadził względem nas przed pierwszym rozbiorem i jaką jeszcze jeszcze dawniej lordowie królowej Elżbiety prowadzili wobec Zygmunta Augusta.

A wypadło to tak fatalnie z tej przyczyny, że panu Skrzyńskiemu jest obcy jeden mały dar, taki dar przewidywania zwany ku czci jego z angielska „power of vision", to jest to właśnie, co mu przypisywał jego alterego, jego mentor Telemaczka p. Rosner, Masynissa tego Irydjona Wagner „służka uniżony" tego Fausta (für Badeorte).

Gdyby ten laureatus krakauerskiego Ochs-fordu miał jedną „quantilla sapientiae" (o której mawiał kanclerz Oxenstyerna do syna) jedną szczypteczką imaginacji o szerszych nad lodomeryjskie horyzontach, jeden łut „power of vision", nie byłby się dał tak oszołomić nastrojom i „moralnej atmosferze" babelskiego karawanseraju politycznego w Genewie, byłby cum grano Salis-bury brał te wszystkie deklamacje i eksklamacje, sesje, komisje, akty, pakty, byłby choć z liliputiego poziomu jednak z pewnym sceptycyzmem patrzył na Guliwera Mac-Donalda. I młody ten Galileusz nie dałby sobie też zaimponować tak druzgocąco temu Protokółowi o arbitrażu, który nie tylko nie jest dziewiątym „cudem światem", ale podpisany tylko przez osiem państw, niepodpisany przez 39, nie ratyfikowany oczywiście jeszcze przez żadne, zdyskredytowany z miejsca przez Japonję, komplementowany ale zdeptany brutalnie przez Anglję, przez Hughesa zdyskwalifikowany w Indianopolis (też symboliczne miasteczko) dziś jest już omal niczem więcej jak tylko monumentalnie historycznym „scrap of paper", fetzen-papier. To można było doskonale przewidzieć nie będąc nawet najgenialniejszym mężem stanu naszej lewicy, skoro się w momencie podpisywania uroczystego aktu tylko rozglądnęło po sali i rzuciło spojrzenie na ścianę, na mapę świata; ile to tam miejsca zajmuje na mapie Rosja, Ameryka, Dominja angielskie, Niemcy, których tu na sali akurat niema, które ani Protokółu ani żadnego Paktu eszcze nie podpisały!

Power of vision imputowanego mu przez p. Rosnera p. Skrzyński nie miał, skoro na zapytanie wywiadowcy z „Echa":

— A jeśli parlament angielski nie ratyfikuje protokułu?

nie odpowiedział, co wtedy? ale udając, że nie słyszy, wybąkał na to jakiś truizm a la pan de Palisse:

— „Rządy i parlamenty 54 państw, reprezentowanych

w Genewie, będą się musiały bardzo poważnie liczyć z naciskiem mas, tęskniących za prawdziwym pokojem".

Tu przytem dodamy, że już w Paryżu p. Skrzyński mógł zblednąć ze swego ogorzenia genewskiego, mógł ochłonąć z młodocianych zapałów, widząc, że nawet czeski poseł w Paryżu p. Osuski wyraźnie i głośno nie podziela optymizmu swego szefa p. Benesza, współtwórcy Protokułu, wiedząc jak w Londynie umywają ręce po Piłatowemu, zamykają flotę na klucz, Parmoora odsyłają do Music-Hallów (si vis pacem parmoore bellum), a wielkie gaudium panuje tylko w tej prasie kartelu russofilów i bochomanów, która po potknięciu się Mac-Donalda wszelkiemi siłami chce podtrzymać na nogach słaniającego się tryumfatora Eduarda, powrotnego mera Lyonu.

Nie miał dalej nasz paniczyk, ani uncji „pover of vision" które mu przypisuje jego Isaac p. Rosner (Macdonald ma Żorża Isaacsa, a Herriot Aleksandra Isaaca, jako męskie Egerje), skoro nie przewidział, że Niemcy włażąc do Ligi, odrazu zażądają najwygodniejszego fotelu w Radzie i że należałoby więc poprzód przewidując to pomyśleć i o krzesełku w Radzie dla Polski, której „powaga państwowa" tak przecież od ery Skrzyńskiego w Europie ponoć wzrosła. Aczkolwiek lewicująca prasa polska, trzymając ruki po szwam, dyskretnie tylko o tę strunę brzękała, to jednakże prasa narodowa wyraźnie i głośno una voce i fortissimo o to upominała się. Ale nasz Ganymed Jowiszów genewskich, ani pisnął o tem, ani palcem nie ruszył. Nie darmo jest prymusem i papinkiem Ochs-fordu i laureatem „krakowskiej szkoły", championem braotwa wszystkich cacanków z „Czasu", gagatków, wyrostków, centusiów, bubeniczków: Rosnerów, Romerów, Angermanów i germanomanów. Tam główną maxymą było i jest pod Wawelem: „nie wypada" sobie „zrażać"... „można podejść ale „nie wypada" się „narzucać"... „to się zrobi boczkiem"... festina lente fortwursteln a jeżeli endeki wrzeszczą: to szwamdruber, to się zamaże!

I sprawa też utonęła w niepamięci, zamazana. Zamiast korzystać z tylu tryumfów podobno sukcesów, oklasków i póki żelazo gorące upomnieć się mocno i po męzku o to krzesełko w Radzie Ligi (o które z miejsca upomniały się Brazylja i Espana) na ewentualność wejścia konia Trojańskiego do Sali Reformacji w Genewie, nasz „przedstawiciel władzy radykałów i socjalistów" nasz wypożyczony przez niewstydzącą się żebrać lewicę arcyhrabia z rupieciarni Stańczykowskiej nie zrobił ani jednego kroku, ani jednego „pas" w tym kierunku.

Nie miał dalej nasz kandydat na polskiego Caillaux owego „power of vision", skoro ani raz przez móżdżek genjalny mu nie przeszło, że Mac Donald nie jest jako premjer dożywotnim i że może runąć jak długi, skoro ktoś z jego trupy pacyfistycznej ośmieli się dotknąć paluszkiem takiej świętości, jaką jest super-dreadnought. Przesadziwszy w nadskakiwaniu i mówiąc po krakauersku w „absztyfikowaniu się" do pani

Ligji Genewskiej (jak ongiś nadskakiwali Amalji v. Kuck, Zicie Habsburg, poczem Marji Rumuńskiej), tak samo przesadził lowelas polityczny w nadskakiwaniu Mac Donaldowi i jego plejadzie. I co z tego wyszło, z tego merdania ogonkiem i aportowania? Mac Donald leży, Parmoore ledwie się podlizał nad Lago Maggiore, a p. Skrzyński, jako polski dyplomata, nadal będzie nieodwołalnie uchodził w upartej opinji angielskiej za obrońcę „of unadultereared imperialism", choćby się niewiedzieć jak pacyfistycznie zaklinał i sumitował, bo taka koncepcja Polski jest Anglikom potrzebna do ich przyszłego z Rosją i Niemcami „trade" do handlu do businessu, a jak wiadomo „bussiness as usual".

I aczkolwiek ablegry i emisarjusze „Czasu" w Kurjerze Porannym ulokowane (p. Noskowski, Ehrenberg i t. d.) pisały miesiąc temu:

„Kto był na sali podczas przemówienia ministra Skrzyńskiego, ten spokojnie czekać będzie, aż z różnych zakątków świata, nawet z dalekiej Ameryki przyjdą głosy słusznej oceny trudnej sytuacji Polski i zasług jej położonych i pokładanych zarówno w orężnej jak pokojowej walce o demokrację i wolność",

to jednakże dotychczas ani z Ameryki, ani z „żadnego zakątka świata" (oczywiście angielskiego, bo innych zakątków świat niema) ani jeden głos „słusznej oceny trudnej sytuacji Polski" pod wrażeniem mówek naszego Cicisbea nie przyszedł. Tylko w Polsce te przez p. Skrzyńskiego deklamowane miraże pacyfistyczne, automatycznie i logicznie do rozbrojenia naszego najpierw ideowego a potem faktycznego zmierzające, zyskują „słuszną ocenę" i dziką reklamę w tej prasie, która nas tempore belli wobec okupantów pruskich też rozbrajała (Czas, Naprzód, Rosner, Posner, Shapiro, Grosstern, Wasserzug Haecker, Beaupre, Estreicher i t. p.)

No i jeszcze w jednym kierunku ten nasz arrivista pacyfizmu, niedoszły Caillaux, to jakieś przewcielenie Ignacego Potockiego z 18 wieku (dziesiąta woda po kisielu) nie okazał najmniejszej uncji daru „pover of vision" czy choćby Bergsonoskiej intuicji... a mianowicie co do periculum in mora ułożenia się stosunków normalnych między Francją a Sowietami. Nasz „Krakowiaczek ci ja" całkiem sobie jakoś zapomniał o istnieniu Sowdepji, o 18 miljardach franków w złocie dłużnych małym burżujom francuskim, o istnieniu komisji niejakiego Monziego, o popularności „Moskali" w Paryżu, o metalurgicznym przemyśle francuskim i konieczności tegoż ekspanzji, o Golcondach i Kolchidach surowców rosyjskich. Cały ten rok, kiedy we Francji narastały siły radykokosom russofilskim, p. Skrzyński poświęcił właśnie na „uwalnianie nas z pod jarzma francuskiego" abyśmy nie byli „janczarami Poincarego". Zaflirtowywał się w Londynie; zaklinał: „uwolnijcie nas od naszych przyjaciół" i zapewniał liberalsów, że „nam związek z Francją nie wystarcza". I kiedy on nas chciał już oddawać w jassyr Genewy, akurat wtedy kończyły się w Paryżu prace Komisji

odwracającej znowu wzrok i sympatje i nadzieje Francji w stronę... Newy.

I teraz właśnie p. senator Anatol de Monzie (na jewrejce z Pitra ożenił się) otwiera znów Paryżowi: newski prospekt!... Nam nie wystarcza związek z Francją (jak zapewniali Stefana Grahama z Timesa efebi Alcybiadesa Skrzyńskiego) no to im nie wystarcza związek z Polską. Szukał rzeczywisty, tajny krakauer Skrzyński reasekuracji w Londynie, to szukają też Rückversicherung i panowie z Quai d'Orsay i panowie z „Societe des Amities franco-russe" (Herriot, Boncour, Gide, Aulard) w Kremlu. Nam zasię już teraz p. Rene Pinon redaktor „Revue des deux mondes" radzi w interesującej, bardzo interesującej ankiecie Świata aby „dojść do porozumienia" coprędzej „najpierw ekonomicznego, potem politycznego" i aby „przyszłość" Polski oprzeć na porozumieniu z Rosją (dosłownie). Od tygodnia zaś cała prasa paryska, już zgorączkowana i zeszofowana wpatrzona jest w najbliższy Wschód, jako powiedzmy niedelikatnie sroka w kość... jak Danae... w chmury, skąd może spaść złoty deszcz... No i jeżeli teraz z naszej strony zaczną się jakieś żale, jakieś wyrzuty, jakieś małżeńskie czy collażowe scenki: a to co? już? już a ses premiers amours? Marjanno, Marjanno niewierna! To piękna Marjanna może nam sprezentować całą od roku akcję polityczną pana Aleksandra Skrzyńskiego i jego akolytów krakauerskich i odrazu zamknie nam buzię. Z tej też racji i nasz minister spraw zagranicznych już zaczyna coś krygować się panslawistycznie, już gotów paść w objęcia Prechiczkowa (co mu się chwali) ale i przed Cziczerinem lada chwila kozaka z prysiudami zatańczyć. Dla takich co pamiętają jeszcze jak krakauery, jak się progenitura Koźmianów, Popielów, Szujskich, Bobrzyńskich, Walewskich, Wodzickich w r. 1913 i 1914 na gwałt uczyła się po rusku, perspektywy na ten Newski prospekt otwierają się nieprzyjemne.

Z tych tedy racji jak i jeszcze ze setki innych, znów tutaj trzeba wystąpić jako „agressor", jako napastnik wśród wszystkich innych ogromnie coś wobec aktywnego aktywisty tak pacyfistycznie nastrojonych.

Pan Aleksander Skrzyński nie jest „right man in right place" na dzisiejsze czasy. Wogóle mężczyzni typu Alcybiadesa nadają się na mężów politycznych ale tylko w Grecji, w Helladzie, w klimacie gorącym. Dorian Gray jako mąż stanu i kierownik polityki zagranicznej i to w zimnej Sarmacji to paradox, godny „pover of vision" Oskara Wilde.

Adolf Nowaczyński.

UNSER MANN IST JETZT ERZGRAF A. VON SKRZYŃSKI.

Gdańsk (AW.) Warszawski korespondent „Danziger Ztg" pod tytułem „Polska i obrady genewskie" pisze, że taktyka ministra Skrzyńskiego była zręczna. Można było działać inaczej, ale nie można było działać zręczniej. Polska odegrała swoją rolę w Genewie tym

razem bardzo godnie i poraz pierwszy na obradach nie była klijentem ale wpływała na tok obrad.

Berlin 3 października. (AW.) „Berliner Börsen Ztg" donosi z Genewy o działalności delegacji polskiej. Na sesji obecnej działalność polaków pod przewodnictwem Skrzyńskiego zachowywała ostrożność i wyrachowanie z wyjątkiem jednego punktu, który dotyczył przymierza regjonalnego. Pod tym względem delegacja polska całkowicie i solidarnie popierała francuski punkt widzenia. Polacy, a szczególniej minister Skrzyński, usiłowali w rozmowach kuluarowych rozszerzyć pakt gwarancyjny w tym kierunku, aby nietylko w momencie konfliktu wojennego, lecz i w ciągu całego jego trwania oraz podczas rokowań pokojowych obowiązywały gwarancje, zawarte w każdym traktacie.

„Neue Lodzer Zeitung" nr 239.

„Nasz minister spraw zagranicznych Skrzyński dobrze się w Genewie morduje przy pracy nad dobrem kraju...' Już teraz jesteśmy pewni, że Skrzyńskiemu uda się w swem sprawozdaniu wykazać całą bezpodstawność czynionych mu zarzutów i w ten sposób zadać decydujący cios opozycji nacjonalistycznej. P. Skrzyński nie powinien tracić sił na drobiazgowe i egoistyczne spory partyjne z żądnemi władzy stronnictwami prawicy. Czas jest kosztowny". („Czas" jest kosztowny. P. R.)

„Neue Lodzer Zeitung„ 236.

P. Skrzyński, zarówno w Paryżu jak i w Genewie, odbył zadawalniający debiut. Mały początek już zrobiony. Czekamy na konsekwentne i owocne prowadzenie w dalszym ciągu pańskiego dzieła pokoju, p. ministrze spraw zagranicznych."

„Lodzer Volkszeitung" 57.

W imieniu Polski przemawiał minister spraw zagranicznych, Skrzyński. Wywody jego były przyjęte z uznaniem, gdyż pełne były ducha pokojowego. Jak fatalnie kłopotliwą byłaby jednak sytuacja p. Skrzyńskiego, gdyby MacDonaldowi lub Herriotowi przyszło na myśl zapytać, co myśli o ostrej mowie p. Prezydenta Państwa? Jest to faktycznie bardzo nieprzyjemie dla człowieka, który musi odpowiadać za to, co inni mówią."

„Danziger Zeitung" nr 310 z 30 lipca.

„Jeśli liberalne pisma warszawskie piszą z powodu mianowania p. Skrzyńskiego, że dotychczas polska polityka zagraniczna zbyt wiele cierpiała z powodu bierności, ponieważ punkt ciężkości i inicjatywę przesuwano na sprzymierzoną Francję, to wskazuje to, w jakim kierunku idą żądania opozycji w sprawie polityki zagranicznej.

Paryż niema już w przyszłości wyłącznie określać kierunku polityki polskiej w Europie. Jeśli jednak Polska chce się bardziej niż dotychczas przystosować do ogólnej polityki europejskiej, wówczas będzie musiała także bardziej uwzględniać ogólno-europejskie interesy, które się coraz silniej wyłaniają z chaosu czasu wojennego i powojennego. Najbliższe tygodnie pokażą, czy p. Skrzyński jest tym mężem, który potrafi przezwyciężyć nacjonalistycznych faryzeuszów w Warszawie, którzy w Międzynarodówce nacjonalizmu należą do najniebezpieczniejszej grupy".

SKRZYŃSKI A BACZEWSKI...

Tego samego dnia 6 października kiedy w Paryżu p. Al. Skrzyński łasił się poniewczasie prasie francuskiej, odżegnywał od Macdonalda, wypowiadał coś tam o mniejszościach narodowych, tego samego dnia w Sejmie pruskim mówił poseł Baczewski co następuje:

„Na moje zapytanie, dotyczące zorganizowania szkół mniejszościowych i udzielenia niektórych praw mniejszościom narodowym, otrzymałem odpowiedź, że rzeczone środki nie mogą być wzięte pod uwagę, ponieważ państwo nie posiada na nie środków finansowych. Ale gdy w Prusach Wschodnich zorganizowany został t. zw. Ostdeutscher Heimatdienst dla zwalczania miejscowej ludności polskiej, to ta sama Regencja popiera Heimatdienst państwowemi środkami, które i my, przynależni do mniejszości narodowych, musimy opłacać, tak, że za własne nasze pieniądze, jesteśmy zwalczani. Naczelny Prezydent Prus Wschodnich i Prezydent Regencji Olsztyńskiej dawali do rozporządzenia większe sumy pieniężne wschodnio-pruskiemu Heimatdienstowi. Nie przypuszczam, iżby się to mogło stać bez wiedzy pruskiego ministra spraw wewnętrznych. Zwracającem uwagę jest to, że zawsze wtedy niebezpieczeństwo polskie w Prusach jest wielkie, gdy kasy wschodnio-pruskiego Heimatdienstu są puste. Wówczas krzyczy się w niebogłosy, głosi się o niebezpieczeństwie polskiem, a Regencja daje wielkie środki pieniężne do rozporządzenia.

Tak postępuje obecny rząd pruski, który jak wiadomo w przeciwieństwie do rządu Rzeszy jest w większej części dzisiaj jeszcze socjalistyczny i liberalny!! Tak się odnosi do mniejszości polskiej. Co znaczą wobec tego takie kawały genewskie p. Skrzyńskiego rozpowiadane do „Echa Warszawskiego“:

Należy tutaj odróżnić dwojakie Niemcy: demokratyczne, pragnące szczerze współdziałać z cywilizowaną ludzkością i Niemcy nacjonalistyczne, dążące do odwetu. W interesie ludzkości leży iść tym pierwszym naprzeciw, jak znów interes samych Niemiec domaga się, ażeby zwyciężył u nich kierunek reprezentujący współczesną demokrację.“

Może lepiejby było, żeby pan Skrzyński wszedł w osobisty kontakt z... tym Baczewskim, gdyż od... tego Baczewskiego prawdopodobnie wieleby się wywiedział o niedoli mniejszości polskiej w Niemczech.

DER KLEINE KOHN O WIELKIM SKRZYŃSKIM.

W „Robotniku“ w liście z Paryża z 9 października tak adoruje Cacanka Milusińskiego Hieronymko (genosse Hieronym Kohn):

„Pobyt p. Skrzyńskiego w Paryżu trzeba zapisać na jasnej karcie naszej dyplomacji. Wywiady z nim, ogłoszone w pismach, upewniły Francję o szerokiej demokratycznej polityce polskiej i zjednały dla nas nareszcie tak, jak i w Genewie, poczesne miejsce w szerokich kołach opinji demokratycznej. Byłem na zebraniu uniwersyteckiej Międzynarodowej Ligi Pokoju i przekonałem się tam z licznych rozmów z poważnymi przedstawicielami myśli i polityki francuskiej i zagranicznej, o powszechnem uznaniu i sympatji dla p. Skrzyńskiego. Teraz zależy od polskiego M. S. Z., by nie zmarnowało pozycji, zdobytej w Genewie i ostatnio w Paryżu”.

JAK OSTRZEGAŁ PRZED NIEMCAMI... LLOYD GEORGE.

w Izbie Gmin 27 lutego b. r.

Nikt nie wie napewno lepiej od panów Mac Donalda i Baldwina jaką bombą jest słowo rewizja. Są słowa, których trzeba unikać, mówiąc o sprawach zagranicznych. Rewizja jest takiem niebezpiecznem słowem. Co bądź kto myśli o Traktacie Wersalsskim, jest on fundamentem narodowego istnienia niektórych nowych narodów w Europie. I tak Polska opartą jest na Traktacie Wersalskim; to jest jej podstawowym dokumentem z którego czerpie nowe życie. Również Czechosłowacja jest przez Traktat Wersalski uznaną i, jeśli się nie mylę, Jugosławja. Granice Francja, Alzacja i Lotaryngja, kwestja która zaprzątała głowę Europy przez lat pięćdziesiąt, która wywołała wiele wojen i najokropniejszą wojnę świata i te kwestię załatwia ostatecznie Traktat Wersalski.

Słowo: rewizja jest możliwie najniebezpieczniejszem słowem, jakiego Minister mógł był użyć, mówiąc o Traktacie. Trudno sobie pomyśleć, aby polityk tak doświadczony jak Mr. Henderson mógł był użyć takiego zwrotu. Niewątpliwie jako zwykły członek Izby może on być zwolennkiem rewizji, nie chcę prześladować go tym faktem, że jako zwykły członek dotykał tej kwestji, a dzisiaj tego unika. Ma słuszność. Musi on liczyć się z faktami jak są. Musi on tłomaczyć, a jest to bardzo trudnem zadaniem, musi pojednywać, musi łączyć tych ludzi razem a zbliżać się do nich z rewolwerem rewizji w ręku jest obłędem.

MODŁY SZ. ASZKENAZEGO...

„Nasz Przegląd“ poinformował, że prof. Sz. Aszkenazy, w „Jom Kipur“ w Sądny dzień modlił się w synagodze.

O co on się modlił i jak?

A więc przedewszystkiem zaczął od „Kol Nidrei“ i zgóry na rok cały rozwiązał i unieważnił wszelkie śluby, przysięgi, zobowiązania, obietnice i t. p., które „będzie“ dawał do października 1925 roku.

Jest to wspaniały „glejt“ dla dyplomaty, który może od d. 8 października 1924 r. przez rok cały naobiecywać „co ino wlezie“, bo to go wcale nie obowiązuje.

Następnie zaczął wychwalać to, co Bóg robi dla niego, Aszkenazego, jako dla żyda. A więc: „który (to Bóg) nas prowadził na wyżyny nieprzyjaciół naszych i podniósł świetność naszą nad wszystkie wrogi nasze“.

A gdy dalej błagał Boga o: „radość dla twej ziemi i wesele dla twego miasta”,—to nie znaczyło dla ziemi polskiej,— lecz dla Sjonu i Jerozolimy.

I wreszcie modlił się:

„Tyś (Boże) nas (żydów) wybrał z pośród wszystkich narodów, ulubiłeś nas, miałeś w nas upodobanie, wywyższyłeś (!) nas nad wszystkie „języki”.

I eks-dyplomata myśleć musiał: Jednak te polaki nie są tyle warte, co żydzi...

A potem skromne przypomnienie Bogu:

„Pomnij na Abrahama, Izaaka i Izraela, Twych sług, którym zaprzysiągłeś i rzekłeś do nich: Namnożę waszego potomstwa, jak gwiazd na niebie".

I to wszystko może ma się pomieścić w Polsce!

Tyle wieczorem na „Kol Nidrei". A nazajutrz znowu patrjota polski narzekał w modłach:

„Dla grzechów naszych, wygnani zostaliśmy z naszego kraju (t. j. Palestyny) i wydaleni z naszej ziemi, i nie możemy spełniać obowiązków naszych w domu wybranym przez Ciebie".

A dalej błagał:

„Zbierz rozproszonych naszych z pośród ludów (dosłownie: „goim"), i wygnańców naszych zgromadź z krańców ziemi i sprowadź nas do miasta swego, „Sjonu".

Słowem, Aszkenazy sjonistą!

I potem modlił się, mając na myśli—endeków:

„Ojcze nasz, królu nasz, zatknij usta przeciwnikom i oskarżycielom naszym" (!)

Gdy zaś modlił się dalej: „Ojcze nasz, Królu nasz, zemścij się za przelaną krew sług Twoich",—to napewno nie miał na myśli niewinnej krwi ułanów polskich w Krakowie.

A na zakończenie „chwalił" Boga za to:

„Żeś nas (żydów) nie uczynił podobnemi ludom innych krain i nie zdziałał nas takimi, jak plemiona ziemi; żeś nie dał nam udziału takiego, jak one mają i losu naszego podobnego losowi ich gminu..."

Tutaj wedle ceremoniału modlitewnego, żyd spluwa na wspomnienie „ich gminu", czyli motłochu. Jest to oczywiste przeciwstawienie żydów innym narodom, a więc i polakom. Wszystkie one należą do motłochu, a żydzi to naród święty, lud wybrany.

Tako modlił się w Sądny dzień w synagodze dyplomata—polski Askenazy [1]).

J.

---

[1]) Tu jeszcze dodać musimy, że znakomity dyplomata i champion faworyt całej lewicy polskiej, wracając do religji swych przodków, równocześnie wrócił i do ich procederu, lukratywniejszego od dziejopisarstwa. Pan Askenazy przerzucił się do bankowości i został członkiem zarządu Warszawskiego Banku Stołecznego". Bank ten wszedł w stosunki ze szwajcarską grupą kapitalistów, a obok p. Askenazego figuruje w zarządzie także Szwajcar dr Sebastjan von Aronowsky (sic), adwokat z Berna. Von Aronowscy jest to stara szlachta szwajcarska.

Pren. kwart. **3 zł.** Zagranicą kwart. **5 zł.**

Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **100 zł.** Konto cz. w P. K. O. № 3105

Skrzynka poczt. Nr. 150. — Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK.

Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.